LOKALNIE · ANALIZA

O CO CHODZI W SPRAWIE UKRAIŃCÓW PRZYJMOWANYCH NA UAM?

Kacper Kita · 26 lipca 2021

W ostatnich dniach niezwykle głośna stała się sprawa nieprawdopodobnie licznych i wysokich wyników kandydatów z Ukrainy i Białorusi, którzy na niektórych kierunkach na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu pozajmowali większość czołowych miejsc, spychając Polaków poza uczelnię. O co chodzi w całym zamieszaniu?

Kluczowe pytanie – jakie dokumenty przyjmował UAM?

Jak wiadomo, w Polsce uczniowie przyjmowani są na uczelnie wyższe na podstawie wyników matur. Obcokrajowców kończących szkoły średnie poza Polską, polskie uczelnie mogą przyjmować na podstawie odpowiedników naszych matur. Problem w tym, że odmienne kraje mają odmienne systemy kształcenia. Na Ukrainie występuje Derżawna Pidsumkowa Atestacija (Державна підсумкова атестація), czyli Państwowa Certyfikacja Końcowa – w skrócie DPA. Atestaty w skali 1-12 uczniowie otrzymują od swoich szkolnych nauczycieli. Obok DPA od kilkunastu lat funkcjonuje także ZNO (Зовнішнє незалежне оцінювання) – Niezależna Ocena Zewnętrzna. ZNO przypomina polską maturę, na egzaminie otrzymuje się ocenę w skali 100-200. Głównym powodem wprowadzenia ZNO obok ogólnego podwyższenia jakości kształcenia była chęć walki z korupcją i układami na poziomie lokalnym między nauczycielami a uczniami i ich rodzicami. Z drugiej strony również w przypadku ZNO pojawiają się kontrowersje – byłemu dwukrotnemu szefowi ukraińskiej Centralnej Komisji Egzaminacyjnej Igorowi Likarczukowi, stawiano zarzuty ręcznego podwyższenia wyników w przypadku co najmniej 200 zdających.

Wiele czołowych polskich uczelni, takich jak UJ i UW, podaje precyzyjnie, jakie ukraińskie dokumenty bierze pod uwagę przy rekrutacji i jakie stosuje przeliczniki. UJ bierze tylko ZNO, wymagając jednak przesłania także świadectwa licealnego z atestatami. UW także bierze pod uwagę ZNO, a oceny w skali 1-12 z atestatów przelicza mnożąc przez 0,5 (oceny końcowe) lub 0,6 (wyniki egzaminu).

W przeciwieństwie do UJ i UW, UAM nie podaje, jakie kryteria stosuje przy rekrutacji cudzoziemców na studia. Wiemy natomiast, że np. Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu wymaga „świadectwa ukończenia szkoły średniej za granicą, uprawniającego do przyjęcia na studia w kraju jego wydania". A choć ZNO jest obowiązkowe do napisania dla uczniów ubiegających się o miejsca na ukraińskich uczelniach, niektóre z nich przyjmują studentów również na podstawie atestatów.

Możliwe jest zatem, że UAM, podobnie jak UEP, znacząco ułatwił sprawę ukraińskim kandydatom, przyjmując ich na podstawie atestatów, a nie ZNO. Ile jeszcze polskich uczelni tak robi, by przyciągnąć studentów zza wschodniej granicy? Warto zwrócić uwagę również na to, że na Ukrainie standardowe nauczanie trwa rok krócej niż w Polsce – 11, a nie 12 lat. Jak mówi nam Jerzy, Polak urodzony i kończący szkoły na obecnej Ukrainie przed wyjazdem na studia do Polski, ukraińska matura (ZNO) nie stoi na słabym

poziomie. Jednak jego zdaniem ten rok nauki mniej jest istotny, zwłaszcza gdy chodzi o przedmioty ścisłe – uczniowie ukraińskich szkół mają po prostu mniej czasu, by przerobić zaawansowany materiał np. z matematyki.

Wątpliwości budzi wreszcie możliwość prostego przełożenia wyników nawet ze ZNO – nie mówiąc o atestatach – na wyniki polskich matur, gdy mowa o przedmiotach humanistycznych. Na ZNO obok matematyki, fizyki, geografii, chemii i biologii oraz języków angielskiego, francuskiego, niemieckiego i hiszpańskiego można zdawać jedynie przedmioty ściśle odnoszące się do Ukrainy – historię Ukrainy, literaturę Ukrainy i język ukraiński. To egzaminy nijak mające się zatem do istniejących w Polsce egzaminów z ogólnoświatowej historii, wiedzy o społeczeństwie czy języka polskiego (na tym ostatnim sprawdzana jest także wiedza o ogólnoświatowej, a nie tylko polskiej literaturze), nie wspominając już nawet o filozofii czy historii sztuki.

Korupcja – problem nr 1 na Ukrainie

Korupcja od wielu lat jest podstawowym problemem państwa ukraińskiego. Szczyt osiągnęła zapewne za rządów Wiktora Janukowycza, kiedy praktycznie każda czynność urzędowa była obłożona dodatkowym „podatkiem" dla miejscowego przedstawiciela „Rodziny" Janukowycza, który w kilka lat stał się jednym z najbogatszych ludzi świata. Z WikiLeaks wiemy, że również za poprzednich prezydentów Kuczmy i Juszczenki amerykańscy dyplomaci nazywali Ukrainę „kleptokracją". W 2015 lewicowy brytyjski „Guardian" nazwał Ukrainę „najbardziej skorumpowanym krajem w Europie".

Po obaleniu Janukowycza przez Majdan Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Komisja Europejska wymogły na nowym rządzie utworzenie Narodowego Biura Antykorupcyjnego (NABU) w zamian za złagodzenie ograniczeń wizowych między Ukrainą a UE. Wzorowane na polskim CBA NABU odnosi pewne sukcesy, jednak jego działalność budzi też kontrowersje. Przewodzący NABU nieprzerwanie od 2015 Artem Sytnyk, sam był kilkukrotnie oskarżany o korupcję (m.in. w 2019 sąd w Równem wpisał go w rejestr skorumpowanych urzędników państwowych, co zatwierdził później sąd apelacyjny). Sąd Konstytucyjny Ukrainy uznał w 2020 powołanie Sytnyka za nielegalne, ale dalej sprawuje on swój urząd de facto z powodu próżni prawnej.

NABU odnosi pewne sukcesy, a korupcja na Ukrainie spada wg wskaźnika Corruption Perceptions Index prowadzonego przez Transparency International. W 2020 TI przyznało Ukrainie 33/100 punktów, co stanowi istotny wzrost wobec 26/100 z 2014 (0-maksymalna korupcja, 100-brak – w praktyce najgorszy wynik to 12/100, a najlepszy 88/100). Ukraina nadal jest jednak najbardziej skorumpowanym krajem spośród położonych w całości w geograficznej Europie. Miejsca 117-122 na świecie zajmuje ex aequo z Egiptem, Eswatini, Nepalem, Sierra Leone i Zambią.

Problem z korupcją w ukraińskiej oświacie dostrzegają również czołowe polskie media liberalno-lewicowego głównego nurtu. Już w grudniu 2014, świeżo po Majdanie, Gazeta Wyborcza pisała o ukraińskiej studentce ze Lwowa: „Zanim zdecydowała się na studia w Rzeszowie, rozmawiała ze znajomą, która skończyła WSIiZ. – Przekonało mnie to, że uczelnia daje dużo możliwości rozwoju i że nie ma tu jak na Ukrainie korupcji – mówi Jaryna Oniszeczko, Ukrainka studiująca w Wyższej Szkole Informatyki i Zarządzania. We Lwowie, skąd pochodzi Jaryna, nie sposób nie zauważyć reklam tej rzeszowskiej uczelni. – Są w autobusach, na ulicznych billbordach. W ubiegłym roku wielka reklama wisiała przed dworcem, gdzie przechodzi najwięcej ludzi – mówi Jaryna".

> Oprócz powtarzających się wciąż informacji o powszechnej korupcji widzimy też, że już 7 lat temu niektóre polskie uczelnie zaczęły nastawiać się na przyciąganie jak największej liczby Ukraińców. Od tego czasu tą drogą idą kolejne i kolejne placówki. Wykorzystanie luki prawnej w polsko-ukraińskiej umowie z 2005 i przyjmowanie Ukraińców na podstawie szkolnych atestatów, a nie wyników ZNO, jest najprostszym sposobem, by ściągnąć ich jak najwięcej.

Również „Polityka" niedawno, bo w lipcu ubiegłego roku pisała: „Korupcja jest wymieniana jednym tchem wśród bolączek, jakie niszczą demokrację Ukrainy. Dziś uważa tak prawie 80 proc. obywateli, którzy obwiniają rządzących o jej tolerowanie. (...) Zjawisko nabrzmiewa od początku niepodległości. Reformy gospodarcze, powstanie prywatnej własności i ukształtowanie się silnej grupy oligarchów w sytuacji, gdy prawo nie nadążało za przemianami, stworzyło schematy korupcyjne, których kraj wciąż nie potrafi zwalczyć. Zwłaszcza że przez lata walka z korupcją była na ostatnim miejscu zainteresowań wszystkich rządów i prezydentów". Autorka tekstu w „Polityce", reportażystka Jagienka Wilczak pisała: „Na pytanie o korupcję 66 proc. badanych odpowiadało, że leży w naturze Ukraińców i jest integralną częścią ich życia. W efekcie nic nie działało normalnie". Zauważa, że wśród instytucji przeżartych korupcją były po 1991 także szkoły i uczelnie. „Wziatki brała drogówka, urzędnicy za załatwienie prostej sprawy, hotelowa obsługa za udostępnienie faksu, nauczyciele za lepsze oceny, pracownicy uczelni za zdany egzamin. Powszechne było przekonanie, że nie da się nic załatwić bez łapówki. Specjaliści mówią o korupcji urzędniczej i gospodarczej". Później informuje o kolejnych powoływanych w ostatnich latach instytucjach antykorupcyjnych, takich jak wspomniane wyżej przeze mnie NABU. Wilczak konstatuje jednak ze smutkiem, że nadal za korupcję nie ukarano więzieniem dokładnie żadnego wyższego urzędnika.

Dziwnych wyników rekrutacji na niektóre polskie uczelnie w komentarzu dla „Dziennika Gazety Prawnej" bronił Mirosław Skórka, szef Związku Ukraińców w Polsce. „Nie jest prawdą, że maturę na Ukrainie można kupić. Od lat działa tam system zewnętrznego oceniania, podobny do polskiego". Skórka podsuwa polskiemu odbiorcy piękne słowa – w sytuacji widzi zaufanie do Polski, która nadal jest postrzegana jako kraj życzliwy Ukrainie. „Poza tym młodzi Ukraińcy wystawiają votum nieufności. Bo, owszem, najlepsze uczelnie pracują tam na wysokim poziomie, jednak całe szkolnictwo wyższe jest skorumpowane, a młody człowiek woli zapłacić uczciwie za studia u sąsiada, niż dawać łapówkę. To z perspektywy trudnej sytuacji polskiej demografii dobra wiadomość, że część Ukraińców nie tylko zdecyduje się tu studiować, ale później też pracować".

To twierdzenie w oczywisty sposób absurdalne – państwo miałoby nie dawać sobie rady z kontrolą uczelni wyższych, ale bezbłędnie wielokrotnie liczniejsze i bardziej rozsiane po ogromnym kraju szkoły średnie? W szkołach średnich uczniowie znają się z nauczycielami znacznie dłużej niż z prowadzącymi pojedyncze przedmioty na studiach. Często mają też mniej sformalizowane relacje, a nauczyciele regularnie widują się z rodzicami. Zauważmy przy okazji, że Skórka twierdzi, że na Ukrainie „CAŁE szkolnictwo wyższe jest skorumpowane". Szkolnictwo wyższe jest skorumpowane w 100%, szkoły średnie za to w 0%. Nie brzmi to zbyt wiarygodnie.

A ukraińscy nauczyciele nie zarabiają dobrze. Od 1 stycznia 2021 wszedł w życie wzrost płac aż o 20%. Bazowe wynagrodzenie zwykłego nauczyciela nadal wynosi jednak 4895 hrywien, czyli 703 złote. Dla wyżej wykwalifikowanego nauczyciela będzie to 6461 hrywien, czyli 929 złotych. Oczywiście do tego można

doliczyć premie za staż pracy (5-30%) czy wychowawstwo, ale nadal nie będą to kwoty wysokie. Jeśli rodzina danego ucznia jest gotowa zainwestować w wysłanie dziecka za granicę (co i tak kosztuje) lub zdeterminowana, by zapewnić mu lepszą przyszłość na zachodzie, dodatkowy „prezent" za wysoki atestat nie będzie niewykonalny.

Podejrzane wyniki na UAM

Gdy wybuchła sprawa absurdalnie wysokich wyników rekrutacyjnych kandydatów ze Wschodu w stosunku do polskich uczniów starających się o przyjęcie na UAM, sprawę również zaczęły opisywać czołowe polskie media. Nic dziwnego – jeśli aż 80% z czołowej pięćdziesiątki kandydatów na prestiżowy kierunek stosunki międzynarodowe to Ukraińcy i Białorusini, coś jest nie tak. Albo Polacy mają zaniżone wyniki, albo cudzoziemcy zawyżone. Nie pisali w końcu tych samych egzaminów. Ewidentnie Polacy nie są traktowani sprawiedliwie.

Wątpliwości budzi jednak wreszcie, jak ci uczniowie mogli dostać tak wysokie wyniki akurat na ten kierunek. Spójrzmy w kryteria rekrutacji na UAM. Na 100 punktów w trybie I, obejmującym nową polską maturę oraz matury zagraniczne, składało się maksymalnie 30 punktów za maturę z języka polskiego, 20 punktów za maturę z języka obcego nowożytnego oraz 50 punktów za maturę z WOS (ew. w tej samej kategorii do 40 punktów za maturę z historii). Ukraińscy uczniowie mogli te punkty otrzymać albo za atestaty, albo za ZNO, które nie odpowiadały polskim. Warto znów powtórzyć – na Ukrainie nie ma ZNO z wiedzy o społeczeństwie, ZNO z historii ogólnej, ZNO z ogólnej znajomości literatury ani ZNO z języka polskiego. Są ZNO z historii Ukrainy, literatury Ukrainy i języka ukraińskiego. Stosunki międzynarodowe to kierunek mający kształcić przyszłych dyplomatów i analityków międzynarodowych. Jaki sens ma przyznawanie podczas rekrutacji nań takich samych punktów Polakowi, który uzyskał 70% z matury dotyczącej historii całego świata i Ukraińcowi, który uzyskał 70% z testu na temat jedynie historii własnego kraju?

W przypadku Białorusinów mamy dwa osobne testy podczas odpowiadającego ZNO CT (Testu Centralnego, [illegible]) – historia Białorusi i ogólna historia świata (czasy najnowsze). Pytanie – ile polskich uczelni sprawdza to i punktów uzyskanych z testu o historii jedynie własnego kraju nie przelicza w absurdalny, niesprawiedliwy sposób tak jakby była ona odpowiednikiem polskiej matury z ogólnej historii całego świata? Białoruski CT z najnowszej historii świata też nie odpowiada zresztą w pełni obejmującej wszystkie epoki maturze polskiej. W sprawiedliwy sposób Ukraińcy mogli według tych kryteriów uzyskać jedynie maksymalnie 40/100 punktów rekrutacyjnych. Białorusini 70/100 – na Białorusi, w przeciwieństwie do Ukrainy, istnieje CT z wiedzy o społeczeństwie. Nie ma jednak matury z języka polskiego. Widzimy jednak na liście rekrutacyjnej mnóstwo cudzoziemców mających po ponad 90/100 punktów.

W przypadku Białorusinów występują te same wątpliwości co w przypadku Ukraińców – jakich dokładnie dokumentów wymagają uczelnie? Na Białorusi również mamy bowiem obok CT świadectwa o uzyskaniu wykształcenia średniego ogólnego, czyli atestaty. Czy na pewno tak nieprawdopodobnie wysokie wyniki Białorusinów nie świadczą o tym, że niektóre polskie uczelnie przyjmują szkolne oceny zamiast wyników zewnętrznych egzaminów, ZNO i CT? Szczególne wątpliwości budzi fakt niepoinformowania opinii publicznej, jakie dokładnie dokumenty były przyjmowane, jak w przypadku UAM. Warto byłoby też wyjaśnić, jakie dokładnie egzaminy w ramach ZNO i CT są uznawane za odpowiedniki polskich matur.

CZYTAJ TAKŻE: Sadomasochizm polskiej polityki historycznej

Kult różnorodności i umiędzynarodowienia

Takie pokątne zagrywki są o tyle prawdopodobne, że uczelniom po prostu opłaca się ściągać zagranicznych studentów. Wielu z nich płaci za studia stacjonarne w przeciwieństwie do Polaków. Co więcej, od 2017 decyzją wicepremiera, ówczesnego ministra nauki i szkolnictwa wyższego Jarosława Gowina, uczelnie otrzymują trzykrotnie wyższe dofinansowanie na zagranicznego studenta niż na Polaka. Ten absurdalny przepis wprowadzony został w ramach walki o „umiędzynarodowienie polskich uczelni". Za „umiędzynarodowienie" są bowiem przyznawane punkty. Widzimy tu ten sam ślepy pęd za zagranicznymi rankingami, co przy innych decyzjach Gowina, takich jak totalne przestawienie polskiej humanistyki na publikacje po angielsku. Należy żywić nadzieję, że tu również nastąpi korekta kierunku wobec zmiany na czele resortu i coraz głośniejszych skarg opinii publicznej.

Póki co ze strony władz UAM otrzymaliśmy w ramach tłumaczenia jednak jedynie puste demoliberalne komunały o tym, że należy być „otwartym" i „tolerancyjnym". Nie mogło też oczywiście zabraknąć argumentem ad hitlerum. Demoliberalny establishment – polityczny, medialny, ale także akademicki – uważa za sedno swojej misji zwalczanie wszelkich niebędących ludzkich konstruktem tożsamości zbiorowych.

> Jednorodność narodowościowa Polski po II wojnie światowej jest dla członków tych środowisk czymś nieprzyjemnym, przykrym, nieestetycznym, odrzucającym, tak jak i samo słowo „naród". Z radością i fascynacją witają oni wszelką „odmienność i różnorodność". Te magiczne słowa-wytrychy to aksjomaty, nie wymagają uzasadnienia, są słuszne z definicji.

Czy chcemy sztucznie wielonarodowej Polski?

Problemy z zagranicznymi studentami nie występował do tej pory, bo po II wojnie światowej Polska była stale krajem jednolitym narodowościowo. Otwarcie granic na masową imigrację zza wschodniej granicy nieuchronnie prowadzi do napięć społecznych. Nie da się zmienić ludzkiej natury, niezależnie od tego, jak wiele pracy wkładają w to demoliberalni inżynierowie społeczni. Ludzie generalnie tworzą grupy z tymi, z którymi mają wspólne pochodzenie, religię, ewentualnie język. Tam czują się pewniej, bezpieczniej, bardziej komfortowo. Pokazują to prowadzone na wielką skalę badania w tak zliberalizowanym państwie jak wybitnie różnorodne narodowościowo Stany Zjednoczone.

Jeden z najbardziej znanych amerykańskich politologów, Robert Putnam z Uniwersytetu Harvarda, już w 2000 wydał głośną książkę „Grając w kręgle samemu". Pokazał w niej, że od lat 60. w USA konsekwentnie spada poziom społecznego kapitału – zaangażowania w sieci związków między członkami społeczeństwa, które pozwalają mu prawidłowo funkcjonować. Spada zaangażowanie w politykę, frekwencja wyborcza, zaufanie do rządu, udział w publicznych zebraniach, zaangażowanie w lokalne towarzystwa, związki zawodowe, organizacje religijne, edukacyjne, wojskowe, młodzieżowe, sportowe. Tytuł książki odnosi się do faktu, że choć rośnie liczba Amerykanów grających w kręgle, spada jednocześnie liczba tych uczestniczących w popularnych niegdyś lokalnych ligach kręglowych. Ludzie coraz częściej wybierają rozrywkę samemu. Atomizacja postępuje.

Do kolejnej swojej pracy, „Różnorodność i wspólnota w XXI wieku", Putnam zbierał dane od 30 tysięcy

osób przez 5 lat. Badania Putnama pokazały, że im bardziej dana społeczność staje się różnorodna, tym bardziej spada w niej poziom zaufania. Co ciekawe, nie tylko do członków innej grupy etnicznej, ale również do członków własnej. Putnam porównał ludzi żyjących w etnicznie różnorodnych społecznościach do żółwi, które chowają się do swojej skorupy. W takich miejscach ludzie mniej angażują się w życie wspólnoty, rzadziej udzielają się jako wolontariusze, dają mniej pieniędzy na organizacje charytatywne, mniej wierzą w możliwość dokonania przez siebie społecznej zmiany. Różnorodność etniczna powoduje niższe zaufanie wobec współobywateli i rzadszą interakcję z nimi również przy uwzględnieniu rozwarstwienia w dochodach i poziomu przestępczości.

> Te i inne badania potwierdzają również wiele innych, przewidywalnych zjawisk. Wraz ze wzrostem „różnorodności" etnicznej na danym obszarze spada zaufanie do policji. W „różnorodnych" miastach niższe są wydatki na lokalne drogi, infrastrukturę, edukację, nawet na oczyszczalnie ścieków czy wywóz śmieci. Wobec czego jakość życia w „różnorodnych" miastach tym bardziej się pogarsza. Napływ imigranckich dzieci do szkół powoduje zmianę placówki przez dzieci tubylcze – to też potwierdzają badania.

Czy kogoś może więc dziwić, że obcokrajowcy studiujący w Polsce tworzą „swoje" akademiki, na co skarżą się kolejni Polacy? Tym bardziej, że niektóre uczelnie mają właśnie cudzoziemców faworyzować przy przyznawaniu studentom miejsc w nich. Samo kształcenie wschodnich elit na polskich uniwersytetach to dobry pomysł, który wzmacnia polską pozycję w regionie. Warto jednak do nowego dla nas zjawiska – dużej liczby imigrantów chcących osiedlać się, pracować czy kształcić w Polsce – podejść rozsądnie. Jako Polacy mamy skłonności do zachwycania się samym faktem, że ktoś obcy jest nami zainteresowany. Prowadzi to do przesadnych, emocjonalnych reakcji w rodzaju „Wspaniale! Niech przyjeżdżają wszyscy, którzy chcą! Polskie imperium ze 100 milionami mieszkańców na 2100". Bardzo pozytywnym przykładem uczelni z góry nastawionej na cudzoziemców z regionu jest powstałe niedawno Collegium Intermarium.

Czas na powrót egzaminów wstępnych?

W przypadku zwykłych polskich uczelni warto jednak zachować umiar i stworzyć zdrowy, sprawiedliwy, przejrzysty system. Zasadniczym zadaniem miejsc takich jak UAM jest kształcenie Polaków. Obcokrajowcom chcącym się tu kształcić można z góry wydzielić konkretną liczbę miejsc na danym kierunku – tak jest chociażby na Uniwersytecie Jagiellońskim. Powinniśmy też sobie jasno odpowiedzieć, co jest naszym strategicznym celem jako państwa i narodu. Czy rzeczywiście jest nim ściąganie tu tak wielu Ukraińców czy Białorusinów, ilu tylko będzie chętnych? Doświadczenia II RP jako kraju pełnego mniejszości narodowych nie są pozytywne. Późniejszych wydarzeń II wojny światowej nie trzeba chyba przypominać. Jeśli chcemy kształcić ukraińskie czy białoruskie elity, to dla nich wystarczy z góry określona liczba miejsc. Musimy się cenić, by być szanowanym, a Polska była postrzegana jako poważne państwo, z którym warto się liczyć. Nie jak frajer, który daje wszystko, o co się go poprosi.

Jeśli chcemy, by Polacy i cudzoziemcy rywalizowali o te same miejsca, to niewątpliwie najprostszym, w oczywisty sposób sprawiedliwym rozwiązaniem byłyby egzaminy wstępne na uczelnie. Uniknęlibyśmy w ten sposób wszelkiego rodzaju kontrowersji dotyczących przeliczania zagranicznych egzaminów (ocen?) na polskie. Przy okazji sprawdzalibyśmy też naprawdę poziom znajomości języka polskiego wśród kan-

dydatów. Wśród znających sytuację na wschodzie częste są bowiem opinie, że obecnie uzyskanie pro forma papierka o znajomości polskiego na C1 nie jest trudne. Wystarczy też pojechać do Lwowa, by zobaczyć na ulicy sporo ogłoszeń obiecujących pomoc w załatwieniu Karty Polaka, a tym samym możliwości darmowych studiów w Polsce. Poziomowi korupcji na Ukrainie poświęciłem już chyba wystarczająco dużo miejsca, by nie musieć się powtarzać.

Jeszcze jedno ciekawe rozwiązanie podsunął mi wspomniany Jerzy, Polak urodzony na Ukrainie, który na studia przyjechał do Polski. Być może warto byłoby wprowadzić „rok zerowy" dla grupy rzeczywiście zdolnych Ukraińców i Białorusinów, którzy chcą kształcić się na polskich uczelniach? Jedni i drudzy i tak mają w swoich krajach o rok krótszą edukację – 11-letnią zamiast 12-letniej. Podczas „roku zerowego" mogliby mieć zajęcia wyrównawcze, pomagające wielu z nim nadrobić tę różnicę, osiągnąć poziom polskich rówieśników czy zdobyć wiedzę na temat Polski i polskiej historii. Ten czas można by też poświęcić na intensywną naukę języka polskiego. Takie rozwiązanie pozwoliłoby wyeliminować mniej zdolnych, pracowitych czy chętnych do pozostania na danej polskiej uczelni – na pierwszym roku zawsze odpada największa liczba studentów.

Niezależnie od tego, który z zaproponowanych wariantów lub jakaś ich kombinacja wydaje się Państwu czytającym ten tekst najlepszym, dwie rzeczy nie ulegają wątpliwości. Po pierwsze, obecna rekrutacyjnych „wolna amerykanka" wymaga pilnych zmian. Polskie uczelnie nie mogą uprzywilejowywać nie-Polaków – to absurd. Po drugie, potrzebujemy debaty na temat polskiej polityki imigracyjnej. Jej celów i działań podejmowanych, by je realizować. Inaczej czeka nas chaos, a później przemądrzali aparatczycy pouczający, że „pewnych procesów nie da się już cofnąć".

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/o-co-chodzi-w-sprawie-ukraincow-przyjmowanych-na-uam/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć